

Nie ma radości bez miłości

f

Rozmowa z ks. prof. Janem Sochoniem, filozofem kultury, teologiem, poetą.

Św. Franciszka trudno uznać za teologa we współczesnym sensie tego słowa. Nie zajmował się on rozważaniem treści zawartych w Objawieniu ani tworzących dogmatyczną naukę Kościoła, lecz medytował zdania Pisma Świętego. Doświadczał jednak mistycznej unii z Bogiem i starał się ujawniać znaki owej tajemniczej jedności. Czynił to w sposób na pozór prosty. Odwoływał się mianowicie do codziennych przeżyć wyznaczanych rytmem spotkań z ludźmi i przyrodą. Ale w przypadku św. Franciszka utrwalił się nazbyt romantyczno-artystyczny jego wizerunek, ukazujący go jako postać wznoszącą ręce w górę, z buchającą wokół głowy wrzawą śpiewających ptaków. Dlatego warto próbować dojrzeć realnego św. Franciszka uwikłanego w trudności i nadzieje własnego czasu, poszukującego dróg odnowy ówczesnego Kościoła, rozwijającego ekumeniczny styl międzyreligijnej obecności czy wzór życia opartego wyłącznie na Ewangelii.

Księżę Profesorze, św. Franciszek, zwany też Biedaczyną z Asyżu, został bardzo szybko kanonizowany...

To prawda, choć Kościół, tak dawniej, jak i współcześnie, jest ostrożny i uważny w dokonywaniu aktów kanonizacyjnych. Stara się oczyszczać życie przyszłych świętych (co nie zawsze bywa proste) z apokryficznych i fantastycznych, często o wyraźnie hagiograficznym posmaku, opinii i ocen. Wobec tego pozostaje czymś znaczącym, że zaledwie po dwóch latach od śmierci, w 1228 r., Franciszek został kanonizowany przez papieża Grzegorza IX. Vox populi był ważną wskazówką, ale nie wystarczył. Pojawiły się zatem cuda i to bardzo liczne, wreszcie rozpoczęto proces kanonizacyjny. Odtąd dosłownie z roku na rok Franciszek stał się jednym z najpopularniejszych i wpływowych świętych w całej historii chrześcijaństwa.

Ale miał do tej świętości dosyć wyboistą drogę. Realizacja Chrystusowego nakazu: „Idź i odbuduj mój Kościół, gdyż popada w ruinę” wiele go kosztowała.

Św. Franciszek urodził się we włoskiej Umbrii, na terenie Księstwa Spoleto, lecz właściwie przez całe życie podróżował, nigdzie nie znajdując własnego miejsca, nękany przewlekłą chorobą i najróżniejszymi trudnościami. Jego matka, być może pochodząca z Francji, dała mu chrześcijańską wrażliwość i czułość na wszystko, co ubogie, ogołocone z przepychu. Odważył się więc porzucić światowe miraże i oddać się na służbę Bogu jako szaleniec, wesolek, religijny trubadur i święty naznaczony krzyżowymi stygmatami na górze Alverni, w przejmujących krajobrazach Toskanii. Pamiętajmy przy tym, że szlakami krzyżowców wszedł w tamtejszy świat chrześcijański nie tylko duch filozofii i sztuki greckiej czy arabskiej, ale i manicheizm oraz przepych obyczajów kalifów. Obniżył się poziom moralny duchownych, a powstałe w czasie walk o Ziemię Świętą zakony rycerskie porzuciły swoje zasady, dążąc do utrwalania władzy i majątków, jak to u nas czynili Krzyżacy. Stąd powrót do ubóstwa zakotwiczonego w postawie Chrystusa, czego dowodzi chociażby działalność cystersów, którzy propagowali surowy sposób życia i odpowiedni do niego styl budownictwa. Św. Norbert z Xante, poprzednik Franciszka z Asyżu, przemierzał setki mil boso, z kijem w dłoni, by przekonywać ludzi do zmiany moralno-religijnej. A kiedy św. Franciszek zalecił współbraciom porzucenie osobistej i wspólnej własności, ewangelizację na terenach miast, by mogli bezkompromisowo realizować Dobrą Nowinę w samym wirze ówczesnego życia - to była najprawdziwsza rewolucja. Kto wie, czy Kościół w ogóle ostałby się, gdyby nie działalność zakonów żebrzących pod egidą św. Franciszka i św. Dominika.

Napisana niedługo przed śmiercią świętego jego „Pieśń słoneczna” - to hymn człowieka, który...

...mimo zewnętrznego sukcesu stale cierpiał wewnętrznie, gdyż rozumiał, że poświęcenie życia Ewangelii nie zawsze zyskuje zrozumienie u ludzi. Że ból, także cielesny, u św. Franciszka powiązany z otrzymanymi stygmatami, pozostaje konieczną ścieżką prowadzącą w pobliże Jezusowego krzyża. Że radość i cierpienie wzajemnie się jednoczą w prawdzie przeżycia religijnego. Św. Franciszek właśnie śpiewał w swej udręce ciała, traconego wzroku, chorego żołądka. I w takiej dramatycznej sytuacji doznał Bożego natchnienia, którego owocem stał się kantykt brata słońca „Pochwała stworzenia”, wypowiedziany w języku włoskim, znakomicie przełożonym na język polski przez Leopolda Staffa. Św. Franciszek niemal w ekstazie wołał, że najważniejszym darem otrzymanym od Boga jest życie, wznosząc się - nawet nie przeczuwając tego - na szczyty filozoficznej refleksji. Ta afirmacja dobra (także dobra-śmierci) stała się źródłem najgłębszego franciszkańskiego optymizmu. Toteż każda pogarda dla materii, cielesności jest z gruntu nieludzka i niechrześcijańska. Życie ma wartość jako święte, wywiedzione ze stwórczych mocy Boga. „Rycerz ubóstwa” doceniał małżeństwo, potomstwo, indywidualną świadomość, osobisty przykład religijnego zaangażowania. Natomiast przyczynowe oddziaływanie Boga na świat rozumiał jako pełne uniesienia odczucie piękna złączonego z miłością do Niego. Wspomnijmy jeszcze o franciszkańskiej wesołości usposobienia, połączeniu ubóstwa z radością, pokorze, czystości ciała i modlitwie. Cóż, ideał trudny do osiągnięcia, lecz godny najwyższych poświęceń.

W życiu - co rozumiałe - chcielibyśmy doświadczać jak najwięcej radości. I różnie ją pojmujemy. A jak radość doskonałą definiuje św. Franciszek?

Trudno tutaj podać definicję. Sądzę jednak, że św. Franciszek zgodziłby się na takie oto przybliżenie: radość sprawia, że życie odśłania swoje najpiękniejsze oblicze, że z entuzjazmem podejmujemy codzienne obowiązki, mierząc się z nieuniknionymi trudnościami. Jej powodem są ludzie, których kochamy, oraz miłość, którą od nich przyjmujemy czy im okazujemy. Nie ma radości bez miłości. Radość to oczekiwanie na Boga, pozbawione lęku i drżenia. Wszyscy bowiem jesteśmy więźniami samych siebie, sami siebie pętamy, często załamani i ponurzy, tak że nie potrafimy sami się uleczyć. Ale to Bóg uzdrowi nas od wewnątrz, przyda radości wypływającej z faktu trwania we wspólnocie z Nim, z innymi ludźmi, z cudownością stworzonej rzeczywistości.

Jak już Ksiądz wcześniej wspominał, współcześnie św. Franciszek jest jednym z najbardziej popularnych świętych. Czy poniekąd nie wynika to z tego, że chcemy widzieć w nim przede wszystkim, a może nawet wyłącznie, przyjaciela zwierząt, ekologa, pacyfistę - takiego „brata łąkę”? A zapominamy, albo nie chcemy wiedzieć, że sensem jego życia było jak najwierniejsze naśladowanie Chrystusa, ubóstwo, nawoływanie do pokuty i nawrócenia?

Św. Franciszka trudno uznać za teologa we współczesnym sensie tego słowa. Nie zajmował się on rozważaniem treści zawartych w Objawieniu ani tworzącym dogmatyczną naukę Kościoła, lecz medytował zdania Pisma Świętego. Doświadczał jednak mistycznej unii z Bogiem i starał się ujawniać znaki owej tajemniczej jedności. Czynił to w sposób na pozór prosty. Odwoływał się mianowicie do codziennych przeżyć wyznaczanych rytmem spotkań z ludźmi i naturą. Ale w przypadku św. Franciszka utrwalił się nazbyt romantyczno-artystyczny jego wizerunek, ukazujący go jako postać wznoszącą ręce w górę, z buchającą wokół głowy wrzawą śpiewających ptaków. Dlatego warto próbować dojrzeć realnego św. Franciszka uwikłanego w trudności i nadzieje własnego czasu, poszukującego dróg odnowy ówczesnego Kościoła, rozwijającego ekumeniczny styl międzyreligijnej obecności czy wzór życia opartego wyłącznie na Ewangelii.

Chyba bez przesady można powiedzieć, że napisana w średniowieczu przez anonimowego autora historia Biedaczyny z Asyżu zrobiła furorę na całym świecie? Podobno miała też wpływ na życiową postawę poety Leopolda Staffa, tłumacza „Kwiatków świętego Franciszka” na język polski.

We wstępie do „Kwiatków świętego Franciszka z Asyżu” Staff uzasadnił potrzebę afirmacji istnienia samego w sobie oraz uczuć religijnych, którym najbliższa jest poezja tworzona w klimacie miłości, co pociąga za sobą nieodpartą potrzebę radości, zachwytu i szczęścia. Ten franciszkański styl myślenia i zarazem pisania wyrazisty u Staffa w początkach ubiegłego wieku, zasadniczo nigdy w nim nie wygasł, ponieważ był podszyty z jednej strony przeświadczeniem, że język poetycki w swej prostocie i ekstatycznym wyrazie właściwie nie jest w stanie ująć rzeczy najtajniejszych, przenikających głębię ludzkiej duszy, z drugiej zaś narastającymi przeżyciami trwogi i bólu, odsyłającymi do nieuchronnej nicości.

No i przy okazji świąt Bożego Narodzenia przypomnijmy, że to św. Franciszkowi zawdzięczamy tradycję żłóbka.

Wiemy o tym z opisu Tomasza z Celano, któremu papież Grzegorz IX zlecił napisanie pierwszej biografii nowego świętego. Pisał on w niej, że wydarzenie rozegrało się w Greccio, gdzie zatrzymał się Biedaczyna, wędrując do Rzymu. Tam, w miejscu sprzyjającym medytacji i rekolekcjom, wpadł na pomysł, by ukazać ludzkim oczom Dziecię złożone w żłobie, zziębnięte, pomiędzy osłem i wołem. Wyznaczył na ten cel odpowiednie miejsce i nakazał przygotować żłóbek pełen słomy i siana, przyprowadzić osła ze stajni, choć Ewangelia nie wspomina o tych zwierzętach. Mieszkańcy pobliskich okolic udali się całymi rodzinami, niosąc ze sobą lampy, pochodnie i świece, by oświetlić miejsce. Św. Franciszek wygłosił żarliwe kazanie, nazywając Jezusa Dziecięciem z Betlejem. To jest właśnie źródło naszej tradycji żłóbków, nieraz z prawdziwymi zwierzętami, światełkami i radosną kolorystyką. Niech, miejmy taką nadzieję, i dzisiaj te wszystkie przedstawienia staną się dla nas okazją do kontemplacji niebywalej prawdy o Bogu, który stał się człowiekiem i zechciał nas zbawić. Weźmy w swoje duchowe ręce maleńkiego Jezusa, zatańczmy w uniesieniu i dziękczynieniu. Na chwałę Stwórcy i Jego stworzeń.

Dziękuję za rozmowę.
